



PSZONKA.

29 LISTOPADA.

I. Marzenia o rzeczywistości.

Zegar bije północ, — wybił — ucichł — otoż i 29. Znowu 29 — po raz jedenasty 29. Jedenasta rocznica chwili wielkiej, olbrzymiej — chwili tak wielkiej, tak olbrzymiej, że niejeden może naród oddałby połowę swojego szczęścia za podobną: że niejeden może umarł bez podobnej: my ją mamy, znamy się na niej, wielbimy ją, święcimy — po raz jedenasty, i zawsze na obcej ziemi — takie święto narodowe na obcym śmietniku, taką uroczystość w żebraczej odzieży, taką chwałę w poniżeniu, święto wolności w niewoli, hasło życia w omdleniu do kłaniania podobnym. I dzisiaj powtórzmy to samo, odżyjemy jeszcze raz w duchu Polski, objawimy się Polską tłumnie, jawnie, swobodnie, za pozwoleniem zwierzchności — i znowu złożymy święteczną narodową szatę, wrócimy do żaloby, do życia zaojczystego; do zatrudnień, do trosk, do brudów powszednich. Oslupione oczy będą znowu pytać obcych niebios o przyszłe losy Polski, bezcelne kroki staniać się po obcych brukach, omdlałe myśli wędrować do Ojczyzny ślakami coraz dzikszymi, i nie doszedłszy do niej, upadać jak znużone ptaki w zamorskiej wędrowce do ciepłej gdzie którą znużenie napadło, w powszednie troski, w samolubne zabiegi, poziome żądze, brudne uciechy, o-błądy rozumu, wiarę bez kotwicy, nadzieję bez jutra,

w nieład, klótnie, zwątpienie, czczość, i znowu będziemy oczekiwać nowej, dwunastej rocznicy, ażeby przeszła jak jedenasta, jak wszystkie jedenastie, i kółkiem tej samej kolei przyprowadziła nas do trzynastej, a trzynasta do cztertnastej, i tak następnie.

Skąd mi te myśli smutne? Skąd mają być jasne? Noc bo taka głucha. Tak zimno, mglisto, chmurno, ponuro, nago na dworze: a w duszy jeszcze chmurniej, puściiej, straszniej. Jedenastie lat nazad, podobny był poranek, równie zimny, mglisty, ponury, ale jaki wieczór za to. Życie Polski wybuchnęło słońcem, rozjaśniło, rozpałiło ogniem słońca naród cały, noc poranku swiała wieczorem, dusze promieniły przeczuciem, serca gorzały wielkim czynem. A dzisiaj? jaki poranek, taki będzie wieczór; tylko zimniej, posępniej, ciemniej na ziemi i w duszach, tylko może przybędzie jednem więcej zgorzenie, jeden błąd, jeden grzech, powiększy się nieład, wzmocni się nienawiść, osłabnie wiara, Polska oddali się jeszcze bardziej. Można nie mieć ponurych myśli? I patrzyłem przez okno w ciemne niebo; zawołałem na koniec: Nie! święto 29 powinno być dniem zaduszonym. Gdyby w ten dzień powstała cała Polska umarła, ze wszystkimi poświęceniami, ofiarami, męczennikami, których zmarnotrawiliśmy przez nasze zepsucie, ze wszystkimi cierpieniami, których jesteśmy przyczyną, z całą przyszłością okropną, którą jej gotujemy

naporem naszej złości, gdyby tak weszła pomiędzy nas, bryzgnęła po zgromadzeniu żarem krwi swojej, zajączała głosem wyrzutu, powołała wszystkich do rachunku z ich roboty narodowej: możeby się otworzyły nasze oczy, może wzruszeni, zawstydzeni, przestraszeni, weszliby, na prawą drogę, i następny obchód święcili w obozie walki... O gdyby to mogło być!..

— Może i jest! — odezwał się grzmiący głos za mną.

Zwróciłem się w stronę głosu i postrzegłem niespodzianego gościa. Zadrżałem mimowolnie. Dzwonek nie odezwał się, drzwi nie skrzypnęły kiedy wchodził.

— Kto Pan jesteś? zawołałem, o tej porze, jakim sposobem?

— Takim samym jak Pszonka żyje po półtrzecia wieku.

Zdumiałem się. — Cóż to nie poznajesz mnie Waszmość? Wpatrzyłem się. Przypominałem sobie oblicze i przypomnieć nie mogłem.

— Mistrz akademii krakowskiej, ów lekarz, pamiętasz Waszmość!

— Czy to być może? W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego!

— Amen.

W rzeczy samej był to ten sam alchemik, o którym już wam mówiłem. Poznałem go nareszcie. Stał przedemną taki sam jak przed trzema wiekami. Uradowałem się i zasmuciłem się jednocześnie. Pomyślałem sobie: Przybył zapewne po moją duszę.

To mnie nie trwożyło. Ale porzucić ziemię w tak ważnych czasach, pożegnać Ojczyznę w takim zawieszeniu losów, w takich niebezpieczeństwach, kiedy niejedną jeszcze mogłem oddać jej przysługę! to mnie zasmuciło szczerze.

W końcu jednak uspokoiłem się myślą: że Bóg jest zawsze, i nie da Polsce zginąć, chociaż mnie w niej nie stanie. Dla tego zawołałem z głębi serca: W sam czas przychodzisz mój mistrzu. Życie moje upływa w takich trudach, w takich udręczeniach, widok zewsząd taki niemiły, że śmierć będzie mi pociechą. Rób więc swoje.

— Jesteś w błędzie, szanowny Pszonko, przerwał alchemik; nie przychodzę zrywać twojego życia, ale je wzmoć. Przychodzę cię pokrzepić, pocieszyć. Miałeś smutki? te przeminiły, nie prawdaż? Masz je? przemina jak tamte. Będziesz miał nowe? i te jeszcze przemina. Wszystkie twoje cierpienia zresztą czémże są przy cierpieniach Ojczyzny? Trzeba żyć. Jesteś jeszcze potrzebny: możesz być pożyteczny; trzeba tylko być gotowym na wszystko. Jesteś-że gotów dłużej cierpieć?

— Dłużej i więcej niż dotąd cierpiełem.

— Bóg z tobą. Za to spadną z twojej duszy kajdany cięła, podniesiesz się na skrzydłach anielskich do strefy nadludzkiej i zobaczysz czego ludzie zwyczajni nie widzą. Zobaczysz Polskę, jaka jest i będzie zawsze.

— Chodźmy. Cóż cię tam jeszcze nie puszcza?

— Jedna myśl. Daruj, ale dla emigranta to nie może być obojętne. Czyby nie można odłożyć naszej podróży do wieczora?

— Dla czego?

— Wieczorem będzie obchód.

— Cóż na obchodzie zobaczysz?

— O mistrzu! nie znasz tego widoku, nie wiesz jak on uroczysty, rozrzucający. To zebranie ludzi na obcej ziemi, nie zapominających o swojej; te myśli skupione w jedną myśl, te mowy, te wiersze patryotyczne...

— A po tem wszystkiem co?

— Po tem wszystkiem, rozchodzimy się.

— I nie nawidzimy się, klucimy się jak dawniej, grzeszymy przeciw Polsce jak dawniej. Widziałeś choć jednego któryby przy takim obchodzie rzucił się z uściskiem miłości na szyję swojego przeciwnika, choć jednego któryby w obec wszystkich wyznał swoje winy, choć jednego któryby zostawił na obchodzie swoją dumę, miłość własną, błędne zdanie, widoki osobiste, pogardę ku drugim, duch stronnictwa, zwątpienie, wyniosłość pokorę, szczerość, skrucę za przewinienia, silną wolę poprawy, cześć przed zaśluga innych, serce czystsze, duszę wznioślejszą, silniejszą miłość rodzinną, jaśniejsze pojęcie stanu Ojczyzny, wiarę w Oj-

czyznę bezwarunkową: widziałeś choć jednego któryby lepszym z tamtąd wyszedł?

— Nie znam wszystkich.

— Ale czy znasz takiego? Powiedz Bogiem a prawdą?

— Bogiem a prawdą, nie znam żadnego.

— Wasze więc obchody, takie jak były dotąd, są tylko sceną popisu dla płaskich retorów, dla wykretnych sofistów z jałową deklamacją, frazesami bez duszy, zdaniami bez ognia prawdy; są żniwem lichy popularności dla lichszych jeszcze pyszałków, polem walki dla nienawiści rodzinnej, skalą jak dalece zepsucie serc i rozumów może rozpierać całość narodu w rozzerwane członki, są świętokradztwem, urąganiem, bluźnierstwem wielkiemu dniowi i nieszczęściu ojczyście....

— Mistrzu, Mistrzu, dla Boga, ciszej, nuż nas ko podstucha.

— Cóż stąd?

— Mnie za grzeczniejsze wymówki okrzyczano Gurowskim, bluźniercą, szatanem, antychrystem, starowiercą, ślepym, chromym, Bóg wie nie czem.

— I to po dziesięciu rocznicach 29, po dziesięciu latach nieszczęść, i nauki przez nieszczęścia. Nie-prawdaż? A ty chcesz być na jedenastą? A na jedenastą może cię ukamienują. Ciało im bardziej zranione, tem drażliwsze, złość tem wścieklejsza, im więcej lęka się o swoją maskę.

— Święte twoje słowa. Ale obiad!

— Cóż ci po nim?

— Tak! nie! Chciałbym tylko wszystko widzieć i słyszeć.

— I bez tego będziesz wszystko widział i słyszał, przez ducha Polski.

— A więc wola twoja, Mistrzu. Jestem gotów.

Dziwny mędrzec kilka tylko słów wymówił, kilka znaków zrobił, że ani się postrzegłem, jak cały świat obecny zniknął, i ujrzałem się w nowym, zupełnie innym, on tylko przy mnie pozostał.

II. Widzenie tego co jest.

Ujrzałem naprzód budowę nieobjętego ludzkiem okiem ogromu. Było to coś nakształt świątyni, nakształt miasta, nakształt kraju całego, a jednak w kształcie świątyni. Styl budowy nie da się wyobrazić przez żaden ze znanych nam rodzajów budownictwa; połączone tam ujmująca prostota, przepych zdumiewający, wdzięk co porywa, ponurość co w melancholię zanurza. Na ciało budowy złożyły się wszystkie królestwa przyrody, na jego upiększenie wszystkie sztuki, połączone dziwnym sposobem: kolory mówiły, harmonia budowy dzwoniła najwznieśliwszą muzyką, dźwięki pływały wszystkimi barwami blasku. Ogrom cały stał na oddechu ziemi, który się pod nim w obłoki podścielał; kształty jego przybrane były w błękitny eter, nieprzejrzysty jak błękit nieba; kopuły, wieże, z podobnegoż eteru, podnosiły się ku niebu w niezmierną różnorodną wysokość bez liku, każda dotykała swoim ostrzem jakiś gwiazdy, a każda gwiazda była jakimś wyrazem polskim, jakimś nazwiskiem, tak że jednym rzutem oka obejmowałeś całą ziemię polską, cały język, całe życie Polski, i z każdej spływały aż na dół po onych wyżynach strumienie światła: jedne spływały, drugie tajemniczą siłą podnosiły się do góry, tak że nieustannie było krążenie, ruch nieustanny, nieustanna jakby rozmowa ziemi z niebem. Wszystkie te gwiazdy krążyły około jednego ogromnego słońca, piły światłość z jednego ogromnego słońca, które było słowem Polska, i wisało na promieniu bez początku i końca: spoczywało zaś na wierzchołku kopuły, ogromniejszej od wszystkich gór na ziemi, pokrywającej całe owe miasto, i całe miasto oblewającej falami polskiego słońca, igrającemi wiecznie to w dół, to w górę.

Zbliżyliśmy się do drzwi świątyni, a przewodnik rzekł do mnie: Jesteśmy w Polsce, wstąpimy w jej duch, stanijemy twarzą w twarz przed Ojczyzną, a w chwili bardzo ważnej. I tu także jest obchód 29 Listopada. Wejść każdemu wolno pod warunkiem aby zdał szczerą sprawę z całego swojego życia polskiego. Czy jesteś gotów spełnić ten warunek?

— Jestem, odpowiedziałem z pokorą.

Mistrz puknął we drzwi po raz pierwszy, i zawołał: W imię miłości Boga; puknął raz drugi: w imię miłości bliźnich; puknął raz trzeci: w imię miłości ludu polskiego! Drzwi rozwarły się same przez się. Widok wnętrza świątyni równie był zdumiewający i nie do opisania jak jej powierzchowność. Światłość wydała mi się jeszcze większą, ale przesłaniała ją w każdej, że tak powiem, iskiecie jakaś żaloba, niedotykalna dla zmysłów, tylko na duszę padająca. Nieuprzedzony nawet, byłbym zgadł od razu że to jest chwila obchodu w dzień 29, ale obchodu żałobnego. We wszystkich barwach, promykach, na każdej cząstce świątyni, na każdym punkcie jej próżni, błyszczał napis świętego dnia, choć go nigdzie oko nie widziało, nie było go nigdzie słyszeć, a jednak zapełniał całą świątynię; w każdym dźwięku, w każdym szmerze, w samej ciszy brzmiała myśl jego, ale nazwiska nigdzie słyszeć nie było, a jednak je słyszałeś. Był to hymn wieczny, nieskończony, nieustający, a w jednym słowie zamknięty.

Ledwieśmy weszli, niewidzialny głos zawołał ode drzwi moje nazwisko, że się rozległo jak grzmot po pustkach świątyni, i w tejże chwili głos podobny zawołał z przeciwnego końca: Pszonka, do grobu Ojczyzny, przed sąd Ojczyzny! Zadrzałem mimowolnie, postąpiłbym jednak naprzód, i staliśmy już przy grobie.

Widok jego był przerażający, a razem niesłychanie okazały. Wyglądał on jak zburzone miasto, zwalone na jedną kupę gruzów, z wyciętymi mieszkańcami, ze zniszczonym całym życiem jakie się w nim znajdowało: wszystko tam było pomieszczone, gruz, drzewa, głównie jeszcze tlejące, trupy zakrwawione. Oblęwał je ten okropny płomień, który się nad pożarem po chmurach czepia, a wewnątrz głuchą grały wszystkie jęki, wszystkie krzyki cierpienia, bólesci, skarg, żalów, narzekań i konania. Ale gruzi dzikie uspodu, abierały się u wierchu w kwiatami pękające drzewa, pleśń zgrzybiałych trupów unosząc się wyżej, nabierała coraz wyraźniejszej barwy życia, układała się w drobne ciała, i pierzchała od szczytu na wszystkie strony skrzyżtami aniołkami, brudny płomień pożaru i zniszczenia pałał w najwyższych swoich płomykach różowym blaskiem jutrzeńki, a śpiew śmierci tak okropny w głębiach grobu, im bliżej szczytu, tym wyraźniej zamieniał się w radośny, grzmący hymn zmartwychwstania. Grób i kołyska były w tym pomniku, dwie tajemnice, tajemnica śmierci i tajemnica życia; dwa uczucia budziły się przy nim, radości i bólesci, nadziei i rozpacz, oba jednocześnie, oba równie silne. Doznałem tego na sobie; w stanie zwyczajnym, na świecie zwyczajnym, byłbym na zawsze oszalał; w tej chwili, nie wiedząc także nic co się ze mną dzieje, dlaczego co robię, zalałem się łzami, nie wiem z roskoszy czy z bólu, zalałem ręce, padłem na kolana, rzuciłem się chciwymi ustami na zimne gazy nagrobku, i począłem je całować, nie wiem czy pierwszym pocałowaniem miłości, czy ostatniem kiedy konamy lub konających zegnamy. Wnet, o dziwo, uczułem w zimnych gładziach ciepło ciała żyjącego, i drganie jakoby serca w piersiach: aż oto i głos przemówił, nie wiem podemną czy nademną: Synu, twoja spowiedź już skończona. Odbyłeś ją w taki sposób, że i przebaczam wszystkie twoje grzechy. Słuchaj teraz co ci powiem, i schowaj to do serca, i szanuj wiecznie jak święty upominek matki z dnia dzisiejszego (Zrobiłem jak matka kazała, i dlatego nie udzielam nie czytelnikom; zresztą upomnienie to mnie tylko dotyczy, a dla innych nie może być obojętne). Zakończyła jak następuje: Na świadectwo łaski mojej odziewam cię szatą poświęcenia. Jest to godowa szata dni męczenników, purpura męczenników. Przywiązane do niej wielkie bólesci i wielkie roskosze, wielkie trudy i wielkie zasługi. Szczęśliwy, kto na ostatecznym sądzie narodu ukaże się do niej podobnie—dla dobra ludu. Odejdź synu, i czekaj. Rzuciłem okiem po sobie i ujrzałem się w tej oto szacie czerwonej, którą tu widzicie. Posłuszny głosowi Ojczyzny, wstałem i stanąłem z boku grobu, mając znowu obok siebie mojego przewodnika.

Po krótkiej ciszy, głos odzwierciły zagrzmiął: Emigracya!

Przywódcy Emigracyi, przed sąd Ojczyzny, zawołał

głos grobu. Myślałem że ujęję próbki stronnictw, opinii emigracyjnych; omyliłem się: cała prawie Emigracya płynęła ku grobowi. Zrobiłem uwagę mojemu mistrzowi: Wszak tylko przywódców wezwano.— Mistrz uśmiechając się, odpowiedział zapytaniem: Wieluż masz nieprzywódców? — Prawda! pomyślałem w duchu.

Trzeci Maj pierwszy się wysunął, ustrojony w kłę z piór redaktorskich i barwę książęcą. Chciał mówić.— Daj pokój, zawołał głos grobu. Twoje czoło mówi za ciebie: całe zginęło pod twoim grzechem. Synu, jesteś na drodze zbrodni. Głowa twoja ulomna, serce zepsute, sumienie jak noc zamętu. Zamiast służyć narodowi całemu, wzięłeś służbę u jego sługi. Nędzną okrucieństwo ogółu podniosłeś nad ogół. Wiare twoją narodową przenieśliś od Ojczyzny do jednej osoby. Na jednej osobie oparłeś zbawienie wszystkiego. Synu, z twojej duszy ustąpił Bóg i Ojczyzna, a ich miejsce zajęły głupstwo, nierzeczność, lichie własne widoki. Puszczasz jad na rany twój matki. Wyszczasz jej krew żywną dla pokrzepienia trupa. I do wszystkich tych przestępstw dodajesz kłamstwo: twoje godło, Polska! jest kłamstwem; dla ciebie Polska, jest twój król *de facto*. Ciężar narodowej zbrodni a tobie. Pokuta twoja będzie wielka. Odstąp, i czekaj.

Trzeci Maj stał jeszcze, kiedy go potrafił ze złośliwym uśmiechem, wymuskany Panicz, i wstąpił na jego miejsce. Miał on włosienicę na modnym fraku, na czole piętno hrabskiej korony, u boku rożaniec, przy ustach pantofel papieża. Kto jesteś? zawołał głos grobowy. *Dziennik Narodowy, ad maximam Dei gloriam.* — Zaczynaj — Spowiadałem się przed tygodniem. — Spowiadaj się i dzisiaj, bo co tydzień grzeszysz, ciężko grzeszysz, na wycigi, i to z kim? z Trzecim Majem, i o co? że on od razu nazwał królem, co ty chcesz udawać jakiś czas za naczelnika. Zło, mój Synu, masz się za mędrszego jak twój spółzawodnik, a naśladujesz go w grzechu głupstwa, jeszcze mu go zazdrościsz, i przesadzasz w nim przez obłudę. Porzuć te bałamuctwa. Potępienie w nich dla ciebie, a dla Ojczyzny cierpienie. Twój naczelnik nie jest Messyaszem Polski; twój Sejm nie czysta dziewica, żeby go porodził; twoja wiara w Rzym nie zastąpi wiary w Polskę. Skieruj lepiej całą ku ludowi bratniemu. Wszak wierzyłeś w bóstwo Chrystusa? wierz więc, że kto był godzien krwi Chrystusowej, i uzyskał prawa niebieskie, ten ma prawo do praw ziemskich. Popraw się, jeszcze raz wołam; poddaj się myśli ludu; zgódź swoją wiarę z wiarą jego przyszłości, zerwij z szatanem pychy, a przynajmniej bądź prosty, szczerzy. Odstąp i czekaj pokuty! — *Dziennik* ustępował, ale ustępując zawołał wspólnie z Trzecim Majem: — Królu, naczelniku *de facto!* rodzicu nasz; wystąp naręcznie i przemów. Oto grzeszymy i cierpiemy dla ciebie, a ty się kryjesz. Jesteś wszędzie, czemuż cię nigdzie nie ma? — Głos grobu zawołał nazwisko wywoływanego, i pokazał się starzec, występując z małego grona opodal tłumy, które go swoim kółkiem zakrywało dotąd. — Przybliź się, zawołał głos grobu, spowiedzi po tobie nie wymagam. Nie powiedziałbyś prawdy: skrytość i udawanie zamieniły ci się w sumienie. Z resztą, wiem twoje grzechy bez ciebie. Dam ci tylko upomnienie obrażonej matki. Synu mój, dni twoje policzone, twój grób niedaleki, co chwila bliższy; zostaje ci coraz mniej krótkiego czasu do naprawy tego co popsuleś. Spiesz się, spiesz się być innym jak byłeś dotąd. Rola jakiej całe życie poświęciłeś, nie była nigdy dobra, i dobra nie będzie. Nie uwierzyłeś we mnie, przyklejałeś mnie jako podrzędny członek do obcego ciała, gasiłeś ogień mój piersi ile razy samodzielnie zaczął się podnosić, wiazałeś mi ręce i nogi, i wydawałeś na łaskę morderców, dla mego niby zbawienia, i dzisiaj sięgasz po nagrodę najcenniejszego, najpoświęcenijszego w narodzie, po miłość największą ludu, po władzę; za to że byłeś bardziej Moskalem jak Polakiem, że dzisiaj znowu chcesz być nie tyle Polakiem co królem. Manowce — droga twojego życia; twoja robota — nieszczęście kraju; czas opamiętać się. Złóż pychę, która niebawem śmierć w dym zamieni. Zostań bratem ludu, rób jak brat ludu, a przez te kilka chwil życia ostatnich, zarób sobie przynajmniej na pamięć zaszczytniejszą, niż apoteoza pieszczeniarzy. Tymczasem dziel karę z tymi, z którymi dziś grzeszysz. Miejsce twoje

pomiędzy *Trzecim Majem* a *Dziennikiem Narodowym*. Powinność twoja ścisnąć nieustannie to jednego to drugiego; aby ich dręczyć wzajemną zazdrością; twoja zaś kara, twoja ... okropna ale sprawiedliwa — niech oba piszą twoje pochwały — ostatkiem krwi twojej.

Zjednoczenie Towarzystwo! zagrział głos odzwierny. — Protestujemy! My nie towarzyszy! wrzasnął tłum ogromny. — Milczcie dzieci! zawołał głos grobowy; to nie sejmik emigranckiej gminy. — Grzechy wasze? — Oto akt *Zjednoczenia!*... Głos grobowy przerwał mowę. — Dosyć! Wszystko już powiedzieliście. Dzieci moje, dzieci, jakie wy dzieci; ale co w tych dzieciach zarozumiałości, co miłości własnej, co uporu, co nienawiści, co myśli wykretnych, co popędu do kabał, do intryg, co obłudy, co ducha niesformości, co namiętności wyuzdanych, co nałogu najzepsutszego szlacheckiego czasu, co za dziwne zjednoczenie tego wszystkiego? I takie *Zjednoczenie* ma wybierać cały naród, ma nim kierować, ma go zbawić. Błuznicie mu, dzieci, potwarzacie go, chcecie go zgubić. Grzeszycie śmiertelnie. Poprawcie się, rozjednoczcie się. Niech co dobre wróci pomiędzy dobrych, a co złe, niech w odosobnieniu ginie, jeżeli się nie poprawi. Ale wytrzeźwienie się wasze leży na dnie kielicha waszego; pijcież go do dna. Waszą więc religją, będzie religja nowej Polski, myślą społeczeńską nauka *Gromady Grudziądz*; wasze ślepe posłuszeństwo zostanie pod władzą.... Tu głos tajemniczy uciekł na chwilę, i znowu zawołał: — *Zjednoczenie* pismo przed sąd Ojczyzny! Wspiałem się na palce. Ciekawy byłem jak też wygląda wice-król królestwa bożego, ale głos Ojczyzny zajął mi znowu całego. — Synu mój, ogłaszasz się przewodnikiem do królestwa bożego, a idziesz drogą ciemności. Twoje apostołstwo godniejsze Antychrysta jak Messyjasza. Z księgi świętej wysłałeś tylko nienawiść żydowską; błogosławisz przekleństwami. I chcesz wmówić w braci, że głosisz miłość najwyższą, najczystsza. Synu mój, błuźnisz Bogu, błuźnisz miłości; grzeszysz najbezczelniejszą obłudą. Zaczem uzyskasz przebaczenie, bądź narzędziem kary: rządź *Towarzystwem Zjednoczenia*, a za pokutę, rządź nim z miłością i rozumem.

Zatem nastąpiły gminy, gminki, w gminkach jeszcze gminki, i tak w nieskończoności; dalej rozmaite dzienniki, broszurki, świstki, dalej konfederacye o trzech, dwóch, dziesięciu głowach, niektóre o jednej, większa część bez zadnej; dalej pojedynczy co sami w sobie są towarzystwem, emigracją, krajem, wszystkim; ale czy podobna wszystko spamiętać i opowiedzieć. Kiedy nakoniec wypróżniono hufiec *Zjednoczenia*, usłyszałem zawołanie: *Demokrata!* i *Demokrata* stanął przed grobem, a głos tajemniczy przemówił: Jakiegokolwiek są twoje grzechy, twój przeciwnicy wyśpowiadali je światu, i chlosta swojej nienawiści każdy już zmazał. Idź po drodze po której dotąd szedłeś, za gwiazdą myśli która ci dotąd świeciła. Tam jest konieczna przyszłość i życie twojej matki. Rozszerzaj wiarę we wszechmocność narodu, zstępuj coraz głębiej między lud, poświęceniem się dla jego dobra, wiaż twoje serce z sercami bratnimi przez ojczyste uczucia, przez rodzinną miłość coraz ścisłej, utwierdzaj ducha prawej karności, gromadź przymioty apostoła, miej poddanie się męczennika; wierz, kochaj, cierp, a pracuj i trwaj, to gwiazda Polski będzie ci świecić coraz jaśniej, i coraz jaśniej będzie opromieniać twoją duszę, aż ci pokaże w południowym blasku to co dzisiaj widzisz dopiero w brzasku jutrzejnki. Wtedy odbierzesz nagrodę w błogosławieństwo ludu; dzisiaj masz przebaczenie wszelkich win przeszłych, i błogosławieństwo matki na dalszą drogę.

Na raz wszystkie głosy świątyni zawrzały okrzykiem: Naród! naród! a drzwiami wpłynął tłum ludu jak fala potopu, i zalał cały przestwór. Ojczyzna tylko mogła objąć spojrzeniem ten ogrom: Świątynia zamieniła się w dolinę Józafata. Rozpoczął się sąd narodu. Niepodobna opowiedzieć jak się odbywał. Jest to nad siły moje i przeciw najświętszym tajemnicom Ojczyzny. Stawały wszystkie stany, wszystkie odłamy ludu, pojedyncze nawet osoby, i odbierały błogosławieństwa lub upomnienia, nagrody lub kary. Zawołano nakoniec: — Męczennicy! Święty zastęp skupił się przy grobie. Półnagły, obciążony kajdanami, wychudły, wybladły, skrwawiony, nędzarze ciałem, wszyscy jak jeden człowiek,

spokojni, wdzięczni, silni, nadziemscy duchem, wszyscy jak jeden Anioł, były to oliwy więzień moskiewskich, niemieckich; postrzegłem wielu znajomych, zalałem się łzami; przygasia jasność świątyni, smutna pieśń przeciągnęła wiatrem, jękło wnętrze grobowca, ale wnet zagrzmięło groźniej niż dotąd słyszałem. Ludzie grzechu, patrzcie, oto męczennicy wasi! Patrzaj narodzie cały, oto obraz Ojczyzny. Patrzaj, i popraw się! — Więźnie pojrżeli po sobie zapłakali, i zawołali: — Matko! przebac! Nasze grzechy muszą być niezmiernie, kiedy taka jest twoja męczarnia! Przebac nam grzechy nasze! — Nie, dzieci moje, odpowiedział głos grobu, wy jesteście bez zmyły dzisiaj. Kochaliście tyle, cierpieliście tyle dla win cudzych, że sami zgładziliście własne. Ja żyję przez was tylko. Jestem z wami, i moje błogosławieństwo z wami wiecznie. I w tejże chwili dwoje rąk wyszło z grobowca, zawisło nad głowami męczenników, strumienie światła wypłynęły z nich na wszystkie strony, rozlały się wokoło męczenników, i ułożyły się w promienną koronę nad głową każdego z nich. I tak zostali przy grobie jak jego Aniołowie-Stróże.

III. Widzenie tego co daje Boże.

Krótkie było milczenie. Gwar ciągły w orszaku potępieńców, coraz większy, urosłszy w wycie wszelekroci, niszczącej siebie przez siebie, wybuchnął w końcu jękiem rozpacz: Matko, Matko, zlituj się nad nami; nie wytrwamy tak dłużej. Pomrzemy, przepadniemy wiecznie. Przebac nam. — Wskrzęście mnie wpróżdy, grób odpowiedział. — Cóż mamy robić aby Cię wskrzęcić? — Ukołujcie mnie w ludzie moim, przysięgnijcie mi posłuszeństwo w posłuszeństwie memu ludowi, poświęćcie się mi poświęceniem dla mojego ludu, a zaczniecie od wyparcia się, od zniszczenia wszystkiego co zewnątrz i wewnątrz, w myśli i w czynach, wyosabnia was z ludu, z jego myśli, z jego życia, z jego szczęścia, co was robi buntownikami przeciw niemu, nieprzyjaciółmi albo panami jego. Wtedy wam przebaczę. — Przebaczaj Matko, zawołali potępieńcy, oto robimy wszystko co każesz. Jesteśmy ludem, jego wolanaszem prawem, jego władza naszym panem, jego szczęście naszym szczęściem, co mamy wszystko dla niego poświęcamy. — I w tejże chwili dziwny przedstawił się widok, panowie deptali nogami swoje mitry, szlachta darła swoje dyplomaty, bogacze dzielili się z biedakami swoim dobrem, król *de facto* zaklinał na klęczkach swoich wyznawców, aby mu pozwolili być prostym człowiekiem ludu, *Trzeci Maj* pluł na swoje pismo, *Dziennik Narodowy* zaśmiał się głośno sam z siebie, sejm rzucił swój mandat pod nogi tłumu. *Zjednoczyciel-Społecznik* oddał co miał nadto, a cudzego nie zapragnął i szczerze się uśmiechnął, *Zjednoczyciel-Komitet* uznał się niższym od narodu, i przyznał *Demokracji* słusność; a wszyscy zmieszali się w tłum jeden, ścisli się, całowali się, płakali z radości. Nagle zagrała muzyka zmartwychwstania, grób zniknął, cała przestrzeń świątyni przybrała widok raju, a w powietrzu nad miejscem grobu jaśniała anielska postać; patrzała ona z uśmiechem niebieskiej roskoszy na scenę poprawy, nakoniec przemówiła: — Błogosławione jesteście dzieci moje! Zmartwychwstałam przez was. Obchód skończony. Widzieliście go duchem. Taki powinien być wasz na ziemi. Obyście go jak najprędzej mieli. — Anioł zniknął i z nim całe widzenie zniknęło. Znalazłem się znowu u siebie przed oknem, śród nocy. Przez chwilę zdało mi się, że widzę dziwnego mojego mistrza: odchodził właśnie. Chciałem przemówić, nie było nikogo.

Wszystko to miałooby marnem być widzeniem, i nigdy się nie sprawdzić? Nie! wierzymy w lepszość jak w Boga: tymczasem pracujmy na nią.

Adres redakcyi jest zawsze ten sam: M. André Polonais, rue Vieux-Marché-aux-Poissons, 69, à Strasbourg.

— Obecny półarkusz można nabyć za cent. 25 w redakcyi i w Paryżu w czytelni polskiej, rue de La Harpe, 54.